



Kryminał z myszką

39

# Dom grozy

Kazimierz  
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

## DOM GROZY

Kryminał z myszką – Tom 39

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-24-9

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: LTW, Łomianki 2013

Pierwsze wydanie: F. Hoesick, Warszawa 1939

U góry, skłębione i poszarpane, chaotycznie przewalały się chmury, które wiatr gnał szybko nieomal tuż nad ziemią.

Ponury i pełen smętnej melancholii dzień uchodził. Była czwarta po południu i na smaganą deszczem i wiatrem ziemię kładł się mrok wczesnego wieczoru...

Garda szedł zły na siebie, że usłuchał wezwania i przyjął zaproszenie. Chociaż z drugiej strony list, który otrzymał, mógł dawać dużo do myślenia. Pozwalały na to okoliczności.

Idąc teraz ze stacji, zastanawiał się jeszcze nad jego treścią, która mimo pozornie błahej formy mówiła tyle, że usłuchał wezwania.

List pochodził od pułkownika Zawistowskiego i brzmiał:

„Drogi Panie Hubercie!

Aczkolwiek upłynęło już dobrych kilka lat, jak żeśmy pracowali ze sobą, to jednak nie zawahałem się skreślić do Pana tych paru słów, z bardzo uprzejmą prośbą, by zechciał Pan przyjąć moje zaproszenie i odwiedził swego byłego przełożonego.

Może zdziwi Pana mój list, gdyż po rozstaniu się nie utrzymywaliśmy ze sobą bliższych stosunków. Usłyszałem jednak niedawno o Panu od jednego z naszych wspólnych znajomych i zważywszy na pewne okoliczności, których nie chcę teraz wymieniać, rad bym zaliczyć Pana w poczet moich gości, którzy z racji świąt zjechali do naszego ustronia i jeszcze dotąd rozpraszają szarość naszej domowej egzystencji.

Żywię nadzieję, że czas Panu pozwoli uczynić zadość mojej prośbie, która, podkreślam, nie jest błaha, i oczekuję Go u siebie...”

Następowały informacje o rozkładzie jazdy i drodze ze stacji.

Pułkownik Zawistowski poszedł na emeryturę z drugiego oddziału przed czterema laty. Gardę przeniesiono rok później do służby śledczej i nie słyszał o nim do chwili otrzymania tej dziwnej wiadomości. Człowiek, z którym nie utrzymujemy przez dłuższy czas stosunków, nie widując go nawet, nie pisze bez poważnego powodu takiego listu. Toteż usłuchał wezwania i przyjął zaproszenie.

I dlatego, myśląc o tym liście, borykał się z wiatrem i przeklinał pogodę.

Z daleka, pomiędzy grupą drzew, ujrzał wreszcie kontury domu. Poprzez gałęzie i czarne trzony pni przedzierało się światło okien, żarząc się żółtymi punktami w zapadającym mroku.

Dom o surowych liniach, ciężki i przysadzisty, jednopiętrowy, nie sprawiał miłego wyrażenia. Okalały go drzewa, z których kilka rosło tuż pod samymi ścianami. Trawnik przed gankiem obiegała żwirowa ścieżka; leżały teraz na niej plamy światła z dwóch okien parteru. Reszta patrzyła w mrok zimowego wieczoru czarnymi kwadratami szyb. Całość sprawiała ciężkie i przygnębiające wrażenie, potęgowane pogodą i pustkowiem, na którym wiatr wyprawiał szaleńcze harce.

Obok domu rozciągał się nieduży ogród okolony żelaznymi sztachetami. W tyle majaczyły ciemne kontury drewnianej szopy.

Garda minął furtkę, która zamknęła się za nim z krótkim kłaśnięciem. Wilgotny żwir, pokryty rozmiękłymi płatami brudnego śniegu, skrzypiał nieprzyjemnie pod nogami.

Wstępując na stopnie ganku, znalazł się na wysokości oświetlonych okien i rzucił mimowolne spojrzenie do środka, zatrzymując się na chwilę.

Wewnątrz pokoju, który musiał być jadalnią, przed dużym kominkiem siedziała w fotelu kobieta. Była blondynką o bujnej grzywie złotych włosów, okalających piękną, o delikatnych rysach twarz. Ogromne, wspaniałe oczy uniosła ku górze, obserwując pochylonego nad nią, wysokiego mężczyznę. Oczy były poważne, szeroko otwarte, na ustach zaś błędził ironiczny uśmiech. Kontrast ten był zdumiewający.

Garda widział tylko plecy mężczyzny. Szerokie i zdradzające siłę. Pochylona głowa była przyprószona lekką siwizną. W pewnej chwili wyprostował się, a Hubert minął okno i nacisnął dzwonek.

Usłyszał wolne kroki i stuk odsuwane łańcucha. Otworzył mu służący i stanął przy drzwiach jak niemy znak zapytania.

Komisarz znalazł się w obszernym holu, którego znaczną część zajmowały szerokie schody, wiodące na piętro. Na wprost przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi ujrzał jasno oświetlony salon i towarzystwo siedzące przy kartach. Od stolika podniósł się tęgi mężczyzna o grubo ciosanej twarzy.

– Witam pana, poruczniku... – Pułkownik wyciągnął szerokim ruchem rękę. Twarz rozjaśnił mu krótki uśmiech, w którym przez moment pokazał młodzieńczo białe zęby.

Hubert rozebrał się, otrząsając z płaszcza wodę.

– Jak pan widzi – jestem, wdzięczny za uprzejme zaproszenie...

– Cieszę się, że nie zapomniał pan starego kolegi... – Ujął Gardę pod ramię, wprowadzając do salonu.

– Właśnie siedzieliśmy przy brydżu. Pan porucznik Garda... – zwrócił się do obecnych.

Hubert podszedł do jedynej w towarzystwie kobiety, schylając się nad miękką, wypieszczoną dłonią o lakierowanych paznokciach. Gdy unosił głowę, spotkał się przez krótką chwilę ze spojrzeniem ciemnych, podłużnych oczu, okolonych długimi rzęsami. Oczy bezsprzecznie piękne, mające w sobie urok jakiejś tajemniczości, były największą ozdobą twarzy o regularnych rysach, ujętej w ramę czarnych, gładko przyczesanych, po chłopięcemu ostrzyżonych włosów.

– Pani Stańska – rzucił pułkownik.

Pani lekko schyliła głowę. Przez włosy przebiegł niebieskawy refleks światła i krótko zamigotały brylantowe kolczyki.

– Pan Izemeyer...

Z krzesła uniósł się mężczyzna lat około pięćdziesięciu, z monoklem w oku. Miał twarz zniszczoną, o sieci drobnych zmarszczek osiadłych w kątach lekko wypukłych oczu, duży nos i usta o szerokiej dolnej wardze, rozchylone uśmiechem. Dłoń była miękka i biała, uzbrojona w duży, złoty sygnet. Otaczał go wiew dyskretnych perfum.

– Pan Czerman... – dopełnił prezentacji pułkownik.

Hubert poczuł uścisk mocnej dłoni i spotkał wesołe spojrzenie niebieskich oczu. Młody człowiek był wysoki i doskonale zbudowany. Promieniował siłą i pewnością siebie. Na wysokim czole leżał jasny pukiel niesfornych włosów.

Garda zwrócił się do gospodarza.

– Przeszkodziłem państwu w partii – rzucił tonem usprawiedliwienia – ale skoro już tak jest, to może pułkownik pozwoli mi być milczącym obserwatorem?

– Ależ naturalnie! A pan ze swej strony nie weźmie nam za złe, że skończymy robra. Zresztą żona weźmie pana pod swoją opiekę... – zwrócił się do wchodzącej kobiety.

Za nią szedł wysoki pan o arystokratycznym wyglądem. Hubert poznał blondynkę z jadalni. Towarzyszem był mężczyzna, z którego piękna pani wyśmiewała się. Garda uklonił się, całując wyciągniętą dłoń. Pani przedstawiła:

– Doktor Krzywoń.

Uścisk ręki doktora był krótki i zimny. Hubert ujrzał twarz o ostrych rysach i wąskich, zaciętych ustach. Jednak mimo ostrości nie sprawiała przykrego wrażenia. Doktor był przystojnym mężczyzną o siwiejących skroniach i opanowanych ruchach.

– Mąż wspominał mi o pana wizycie. Bardzo się cieszę... – usłyszał melodyjny głos o niskim brzmieniu.

Reszta towarzystwa usiadła do kart, a doktor, skłoniwszy się krótkim ruchem, opuścił salon. Zostali sami.

Pani dłonią wskazała mu fotel, sama zajmując drugi. Hubert usiadł.

– ...mieszkamy tu od czasu ślubu – już trzy lata...

– O ile mam być szczery, to okolica nie sprawiła na mnie zbyt miłego wrażenia.

– Ma pan rację. Mimo że miałam czas – Hubert dojrzał ledwo uchwytnie skrzywienie ust, które zostało mu w pamięci – nie mogę się przyzwyczaić...

– Ma pani przecież niedaleko miasto.

– Owszem, lecz rzadko korzystamy...

– ...drugie karo...

– ...pas...

– ...ale za to spokój. To cenna rzecz...

– I samotność...

Głos pięknej pani zadrgał odcieniem goryczy.

– Samotność. To jest grunt, na którym wykwitają nieraz wielkie myśli i rodzą się potężne koncepcje... Dobrze lub źle.

– Dobrze lub źle...

Powieki uniosły się i Garda zajrzał w głębię.

– Ale samotność potrafi też zabijać...

– Zabijać? – Słowo zadźwięczało groźnie i jakby proroczo. – Tego bym nie powiedział. Są jednak natury rwące się do życia, towarzystwa i tych uciech, których nie daje odosobnienie. Osobiście nie jestem zwolennikiem gorączkowego życia, ale...

– Ale? – Głos zabrzmiał cichą melodią, jak muzyka. Pieścił i podniecał.

– ...rozumiałbym gorycz samotności u innego człowieka.

Pani bawiła się jakiś czas frędzlami szala. Na schylonej głowie włosy połyskiwały złotem. Milczała.

– ...singiel król...

– Odyniec! – Rozległ się śmiech pułkownika.

– ...bez jednej...

– ...ale bez kontry...

– Są dusze jak kwiaty. Rozkwitają tylko w słońcu. Cień je zabija i dla tych cieniem jest samotność... – Hubert przerwał zaległe milczenie.

Pani uniosła głowę.

– I tak trudno jest wyrwać się z tego. Rozpaczliwie trudno. Nieraz niemożliwie!

– Zwłaszcza kobiecie. Rozumiem panią.

Uśmiechnęła się lekko i blado.

– Zeszliśmy na zupełnie osobiste tory. Bardzo pana przepraszam.

– Jestem dziś niegrzecznie szczery, ale osobiście nie cierpię zdawkowej, towarzyskiej rozmowy i dlatego w towarzystwie jestem taki nudny... – Hubert uśmiechnął się oczami.

– Nie zgadzam się z tym – może dlatego, że nie prowadziliśmy zdawkowej, towarzyskiej rozmowy, o której pan wspominał. Ale to już wina albo zasługa pana.

– Jeśli tak, niech to będzie raczej zasługa!

– Nie wiem, czy tak znaczna. Nie mówiliśmy o obecnych...

– Tak też to traktowałem. Nie robi pani wrażenia kobiety, która by mogła uginać się pod brzemieniem samotności.

Pułkownikowa roześmiała się dźwięcznie i głośno.

– A pan – mężczyzny nieumiejącego prawić komplementów!

Rozmowa stała się ogólnikowa.

Kiedy towarzystwo przeszło do jadalni na kolację, Hubert poznał jeszcze jednego członka rodziny. Przy kominku, zapatrzona w ogień, stała szczupła dziewczyna.

– Moja córka – przedstawił ją pułkownik. – Z pierwszego małżeństwa – dodał, zauważywszy lekkie zdziwienie na twarzy gościa.

Hubert obrzucił twarz dziewczyny szybkim spojrzeniem. Była niebrzydka, świeża i młoda, o cichych, smutnych oczach. Nie wiadomo dlaczego, zrobiła na nim wrażenie

dziewczęcia wyjętego ze staroświeckiej fotografii. Dopiero później uprzytomnił sobie, że powodem tego była niemodna sukienka i długie warkocze upięte w tyle głowy.

Kolacja przeszła w ożywionym nastroju. Nie uszło jednak uwagi Huberta, że jedynie dziewczyna o smutnych oczach nie przemówiła prawie ani słowa, odpowiadając monosylabami zwracającym się ku niej panom. Była dziesiąta, kiedy towarzystwo wstało od stołu, kierując się do salonu.

Pułkownik ujął Gardę pod ramię.

– Przejdźmy na cygaro do biblioteki. Dobrze, poruczniku?

Hubert oczekiwał tego wezwania, toteż skinąwszy głową, udał się za gospodarzem.

Z prawej strony holu znajdował się pokój jadalny, którego drugie drzwi wychodziły na korytarz. Za jadalnym, po obu stronach korytarza, znajdowały się sypialne pokoje zajęte, jak się dowiedział z rozmowy, przez panów Izemeyera, który nazajutrz oczekiwał przyjazdu brata, toteż zajmował większy z nich, i drugi – przez Czermana. W samym końcu tego korytarza znajdowała się sypialnia doktora, który zdawał się być tu częstym gościem. Dlaczego i w jakim charakterze, Garda nie mógł się z rozmowy zorientować. Na górze leżały sypialnie gospodarzy, pani Stańskiej i Jagi. Komisarzowi przeznaczono również jeden z pokoi na piętrze.

Na wprost holu leżał salon. Na lewo prowadziły z holu drzwi do biblioteki, a stamtąd do gabinetu Zawistowskiego, który był narożnym pokojem i łączył w ten sposób bibliotekę z salonem.

– Tu nam nie przeszkadza – rzekł pułkownik. Wskazał Hubertowi jeden z ogromnych foteli i podsunął pudełko z cygarami.

– Nie, dziękuję. Palę papierosy, a czasami, rzadko, fajkę.

Wyjął własnego papierosa i podniósł się z lekka, zapalając go od podanej zapalniczki.

Pułkownik wolno wybrał cygaro i obciął koniec. Widać było, że myśli o czymś intensywnie.

Zanim usiadł, podszedł do drzwi wiodących do gabinetu, uchylając je z lekka. Garda ujrzał ciemne wnętrze pokoju z szeroką smugą światła padającego z salonu na wyfroterowaną posadzkę. Doleciał go gwar rozmów.

Pułkownik zamknął drzwi i zapanowała cisza.

– Przede wszystkim muszę panu jeszcze raz podziękować za usłuchanie mego wezwania – rzekł, siadając w drugim fotelu.

– Będę się cieszył, pułkowniku, jeśli potrafię okazać mu pomoc.

Zawistowski nic nie odpowiedział, zapatrzony w koniec żarzącego się cygara.

– Nie wiem – odparł po chwili. – Są rzeczy, o których tak trudno jest mówić...

Hubert strzepnął popiół z papierosa i milczał, czekając na dalsze słowa.

– Nie da się tego wypowiedzieć w potocznej rozmowie – ciągnął Zawistowski – są to bowiem odczucia nastrojów, zrozumienie rzuconego półsłówka lub uchwyconego spojrzenia... Wszystko razem daje obraz, który może zrozumieć tylko ten, kogo to dotyczy. – Uniósł wzrok na Gardę. – Boję się, poruczniku, boję się...

Słowa zabrzmiały cicho i poważnie. Hubert uczuł nieprzyjemny dreszcz, za który wewnętrznie siebie skarcił.

– Pomijając pańskie ogólne uwagi – czy ma pan jakieś określone podejrzenia i kogo one dotyczą?

– To się nazywa mówić rzeczowo! – Pułkownik uśmiechnął się z przymusem. – Owszem, mam. Powiem panu wszystko, gdyż pamiętam go jeszcze z naszej wspólnej służby i mam do pana zupełne zaufanie...

Hubert w milczeniu skłonił głowę.

W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanęła dziewczyna.

– Co, Jago? – Pułkownik odwrócił głowę.

- Jesteś tu, tatuśku? Szukałam ciebie... Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?
- Nie, dziecko... – Pułkownik wyciągnął rękę, ujmując pieszczotliwym gestem jej dłoń.
- Skończymy naszą rozmowę jutro, panie poruczniku.  
Hubert wstał z ukłonem.  
Nazajutrz jednak rozmowa nie mogła się odbyć, gdyż rankiem znaleziono w gabinecie trupa pułkownika.

## RANEK DNIA 4 STYCZNIA

Poprzedniego dnia wieczorem Hubert po przerwanej rozmowie udał się za służącym do swego pokoju. Sypialnia znajdowała się na piętrze. Schody z holu prowadziły na górę i kończyły się galeryjką. W korytarzu na lewo leżała sypialnia Reny Stańskiej, której drzwi wychodziły na wprost drzwi pokoju panny Zawistowskiej.

Pierwszy pokój na prawo został przeznaczony Gardzie, za nim zaś mały pokój zajmował służący. Naprzeciw prowadziły drzwi do łazienki. Z lewej jej strony spała pani domu, której sypialnia przylegała do sypialni Jagi, nie mając z nią jednak połączenia. Z prawej strony łazienki leżał pokój pułkownika.

Wszystkie te szczegóły Hubert stwierdził dopiero następnego dnia.

Był zmęczony i sam nie wiedział dlaczego – zirytowany. Stan podrażnienia nerwowego, podobny do uczucia, jakie się ma przed nadciągającą burzą.

Starał się opanować. Rozebrał się wolno i wyciągnawszy pod kołdrą muskularne ciało, leżał jakiś czas z przymkniętymi oczami, usiłując skupić myśli.

Przechodził jeszcze raz pamięcią drobne zdarzenia wieczoru. Wezwanie. Scena w jadalni. Rozmowa z piękną panią. Zagadkowe słowa pułkownika...

Nocna lampa paliła się na stoliku, rzucając wokół siebie krąg światła, pozostawiając resztę pokoju w półmroku. Panowała cisza. Głosy rozmów nie dochodziły na piętro, mimo otwartej przestrzeni holu i korytarza. W pewnej chwili usłyszał lekkie kroki i stuk zamykanych drzwi.

Gdzieś na dworze, poprzez szum wiatru, przedarło się urywane szczekanie psa.

W pokoju było ciepło i cicho, toteż Hubert leniwym ruchem wyciągnął ramię ku lampie, gasząc światło. Po chwili zapadł w sen.

\* \* \*

Była szósta rano, kiedy się przebudził. Drzemał jeszcze jakiś czas, po czym wstał z zamiarem ubrania się, by spędzić poranne godziny na lekturze w bibliotece.

Kończył właśnie toaletę, gdy usłyszał szybko biegnące kroki po schodach. Drzwi otworzyły się raptownie i na progu stanął doktor Krzywoń ze wzburzoną twarzą.

– Panie komisarzu! Nieszczęście!

Huberta tknęło złe przeczucie.

– Co się stało!? Pułkownik?

– Tak, zastrzelił się!

Garda szybko ściągnął węzeł zawiązywanego właśnie krawata ku górze i narzucił marynarkę.

– Gdzie?

– W gabinecie... Leży w fotelu... Ciała nie ruszaliśmy, ale skonstatowałem zgon.

Rozmawiali, schodząc szybko w dół. W holu stał wystraszony służący, bezradnie obracając w rękę ścierkę od kurzu. Garda skinął na niego.

– Proszę za nami! – rzucił rozkazującym tonem.

Pułkownik siedział w fotelu, przechylony półciałem na biurko. Głowa leżała oparta czołem o bibułę, w którą wsiąkała skrzepnięta już krew. Prawe ramię wyciągnięte było przez całą szerokość biurka, tak że z drugiej strony zwisała dłoń. W prawej skroni widniała nieduża, okrągła rana o brzegach wraz z włosami osmalonych strzałem. Drugie ramię zwisało przez poręcz fotela.

– O której podług pana, doktorze, nastąpił zgon?

Lekarz spojrzał na zegarek.

– Jest siódma pięć. Mniej więcej przed pięciu-sześciu godzinami.

– Co spowodowało śmierć?

Krzywoń uniósł brwi do góry w niemym geście zdumienia.

– Ależ... To chyba wystarczy... – nieokreślonym ruchem dłoni wskazał zastygłą w bezruchu głowę. – Strzał w skroń. Kulę na pewno znajdziemy przy autopsji.

– Kto znalazł ciało?

– Ja, proszę pana... – Służący zrobił krok naprzód od drzwi.

– O której?

– Przed paru minutami. Sprzątałem jadalnię i hol.

– Dobrze, dobrze... Nic nie ruszaliście?

– Nic.

– Jak się nazywacie?

– Józef Pokrywa.

– Dawno tutaj?

– Od dwóch lat, proszę pana...

– Co robiliście po znalezieniu ciała?

– Wszedłem do pokoju i widzę pułkownika. W pierwszej chwili myślałem, że śpi, potem... – umilkł, łykając z trudnością ślinę. Był błydy i widocznie zdenerwowany. – Potem spostrzegłem, że taki jakiś nieruchomy i bezwładny, i zobaczyłem ranę. Zawróciłem i pobiegłem do pana doktora.

– Dlaczego do pana doktora, a nie do pani?

– Bo pan doktor... – chwilę zawahał się – myślałem, że pan może ranny, pan doktor by pomógł... Zresztą mężczyzna...

– A poza tym? – Hubert zauważył wahanie Józefa.

– Co poza tym, proszę pana?

– Z jakiego jeszcze powodu poszliście po pana doktora?

Garda dopytywał się, mimo że poprzednie tłumaczenie było dość przekonujące. Jednak pewne kontury sylwetek i tła poczęły już zarysowywać się w jego umyśle.

– Bo pan doktor jest prawie domowy... – Spojrzał na Krzywonía, jakby prosząc wzrokiem o wyrozumiałość i poparcie.

– Co przez to rozumiecie?

Podczas tych pytań doktor stał przy biurku z na wpół przymkniętymi powiekami, zapatrzonego w taflę posadzki. Lekki, prawie niedostrzegalny półuśmiech błakał mu się po wargach.

Uniósł raptem powieki, wpatrując się w Gardę.

– Uważam, że te pytania są zbyt liczne – rzucił lekko poirytowanym tonem. – Dalsze śledztwo bezsprzecznie wykaże, że mamy do czynienia z samobójstwem, a mieszanie się do spraw...

– Pan wybaczy – przerwał mu sucho Hubert – ale o tym ja będę decydował.

– Jakim prawem? Jeśli wolno wiedzieć? – odrzucił już z otwartą irytacją Krzywoń.

– Wobec tego pytania może mi pan zechce powiedzieć, jakim prawem przyszedł pan do mnie pierwszego z wiadomością o tym samobójstwie i dlaczego nazwał mnie pan

komisarzem, mimo że nie zdradzałem swego stanowiska? – głos Gardy brzmiał spokojnie i jakby od niechcenia.

Doktor zmieszał się.

– Słyszałem o panu... – rzucił tonem usprawiedliwienia.

– Wobec tego proszę nie dopytywać się o moje uprawnienia! Obecnie reprezentuję tutaj to prawo, o które panu tak chodzi!

– Co rozumiecie przez określenie „prawie domowy”? – zawrócił się znów do Józefa.

– Pan doktor jest u nas bardzo częstym gościem.

Służący ochłonął już nieco i odpowiedź jego zdradzała, że ułożył już sobie zeznania.

Garda wyczuł to i poniechał chwilowo dalszych pytań.

– Tymczasem proszę nie mówić o tym wypadku – zwrócił się do obydwóch.

– Pozwoli pan, że pójdę się ubrać? – Doktor był w piżamie.

– Proszę. A Józef niech mi przyniesie telefon. Widzę tu kontakt... – zwrócił się do służącego po wyjściu doktora.

Józef wyszedł, a Hubert rozejrzał się po pokoju.

Z lewej strony biurka, w samym rogu znajdowało się duże weneckie okno. Z drugiej strony, za plecami siedzącego, oszklone drzwi prowadziły na werandę. Po przeciwnej stronie pokoju stał okrągły stół i kilka krzeseł.

Opanowało go przynębiające uczucie. Było w tym pokoju coś, co nie pozwalało na spokojne skupienie myśli. Garda miał dziwne wrażenie, jak gdyby zwłoki rozsadzała jakaś tajemnicza dynamika, jakby trup robił wysiłki, by ożyć i przemówić.

Przypomniały mu się wczorajsze słowa zmarłego: „boję się”...

Przez szyby wdzierало się szare światło zimowego poranka, a pod sufitem paliły się spokojnym, jednostajnym światłem elektryczne kule. Kontrast ten swoją nedorzecznoscą jeszcze bardziej podkreślał tragiczną pozę nieruchomej sylwetki...

Z drugiej strony biurka, pod zwisającą bezwładnie dłonią, leżał na podłodze rewolwer.

Hubert wyjął chusteczkę i podniósł go ostrożnie. Przytknął lufę do nosa – pachniała spalonym prochem.

Oglądał broń przez pewien czas, trzymając ją na dłoni. Był to mały belgijski browning kalibru sześć trzydzieści pięć. Na końcu lufy, tuż przy małej muszce, zauważył po obu stronach lekkie starcia oksydowania. Przyglądał się im długo ze zmarszczonym czołem, potem położył broń na tym samym miejscu, gdzie leżała.

Wyciągnięte ramię wywróciło kałamarz z atramentem. Czarna plama zaczęła podsychać, a parę kropli ściekło na parkiet. Nachylił się nad nimi. Jeden z kleksów w kształcie małych gwiazdek był wyraźnie rozsmarowany.

Garda obszedł biurko, kierując się ku oknu. Było podwójne, zalepione na zimę wąskimi paskami papieru w miejscu zetknięcia z ramą.

Drzwi miały okrągłą, mosiężną klamkę, pod którą tkwił klucz. Ujął klamkę dwoma palcami za szyjkę, pociągając ku sobie. Drzwi były zamknięte.

Stanął przed ich podwójnymi szybami, wyglądając przez pewien czas na rozmokły, zatopiony w wodzie ogród. Wstawał późny, szary ranek, zasnuty strugami deszczu, obwisły ciężkimi chmurami, wiszącymi nisko nad ziemią, przynębiający, zimny i mokry. Wiatr ustał i drzewa stały nieruchome, ociekające wodą, zastygłe w smętku...

Jakiś czas krążyły nad nimi dwie wrony, po czym rozstawiły skrzydła i bocznym, skośnym lotem uciekły z pola widzenia Huberta. Gonił je wzrokiem, zatopiony w myślach, potem obrócił się ku ponurej rzeczywistości.

Wziął z biurka obsadkę i ostrożnie wsunął w kółko klucza tkwiącego w drzwiach od werandy. Przekręcił go dwukrotnie i lekko nacisnąwszy, pociągnął ku sobie. Skrzydło drzwi otworzyło się cicho. Zamknął je i odłożył obsadkę na miejsce.

Józef zastał go na kolanach, z twarzą przy ziemi. Nie zwrócił nań uwagi, zaabsorbowany nowym odkryciem.

– Czy mam załączyć, proszę pana?

Hubert podniósł się, otrzepując spodnie i ręce.

– Proszę. Tylko do biurka podchodzić z tyłu.

Czekał, aż służący założy kontakt, po czym zwrócił się do niego.

– Pokażcie mi teraz dokładnie, co robiliście po wejściu do pokoju pierwszy raz.

Zupełnie tak jak wtedy, nie opuszczając najdrobniejszego szczegółu. Przypomnijcie sobie dokładnie.

– Wszedłem naturalnie bez pukania, gdyż nie spodziewałem się, że... mój Boże! Kto by pomyślał! – westchnął – Przystanąłem tu. – Zatrzymał się. – Potem podszedłem i dotknąłem lekko pana pułkownika, zobaczywszy ranę, zawróciłem – Józef obrócił się ku drzwiom – potem poleciałem do pana doktora.

– Więcej nigdzie nie stąpaliście?

– Nie. Było zupełnie tak, jak pokazałem.

– O której wczoraj poszliście spać?

– Po rozejściu się państwa. Było około dwunastej.

– Nic w nocy nie słyszeliście?

– Nic, panie komisarzu.

– Mocno śpicie?

– Owszem. Jak się człowiek przez dzień napracuje, to potem dobrze śpi.

– Kto zamyka drzwi na noc?

– Ja.

– Które drzwi i jak się zamykają?

– Drzwi od kuchni i holu. Mają patentowe zamki i rygle.

– A okna?

– Okna na zimę wszystkie są zaopatrzone. Jak się ma wietrzyć, otwieram tylko górne części. Uchylają się tylko na trzydzieści, czterdzieści centymetrów – dodał domyślnie.

– Czy dzisiaj rano wszystkie drzwi były zamknięte?

– Wszystkie. Sam je otwierałem. Były pozamykane na zamki i zasuwę.

– A drzwi od gabinetu?

– Drzwi od gabinetu wychodzą na werandę, więc zimą stale są zamknięte. Czasami, bardzo rzadko, otwierał je pułkownik, jeśli w pokoju było dużo dymu, po czym sam je zamykał.

– Czy wychodziliście już dzisiaj na dwór?

– Nie, panie komisarzu...

– Dobrze, dziękuję.

Garda odprawił go i zastanowił się nad sytuacją, jaka stworzyła się po ich wspólnym wejściu. Doktor stał przy szafie, z tyłu za nieboszczykiem, Józef przy drzwiach, a on pomiędzy nimi. Zatem...

Ujął słuchawkę i połączył się z miastem. Zastał przełożonego jeszcze w domu i odbył z nim dziesięciominutową rozmowę. Otrzymał polecenie objęcia dochodzenia.

Przyjazd doktora i fotografa został ustalony na godzinę dziesiątą.

Drzwi od salonu i od biblioteki zamknął na klucz, chowając go do kieszeni, i przeszedł do jadalni.

Był już tam doktor Krzywoń. Stał przed kominkiem z założonymi na plecy rękami, zapatrzony w ogień. Hubert wszedł cicho, a doktor, posłyszawszy go w ostatniej chwili, drgnął, odwracając ku niemu głowę.

– No i? – rzucił, zatrzymując się w pół zdania.

– Chciałem zamienić z panem parę słów, korzystając z tego, że cały dom jeszcze śpi. Nikt nam nie przeszkodzi.

– Służę.

Doktor obrócił się i usiadł w fotelu, a Hubert poszedł za jego przykładem.

Jakiś czas panowało milczenie. Garda wyjął papierośnicę, podsuwając ją towarzyszowi. Ten wolno wyciągnął papierosa, a komisarz czekał cierpliwie na ogień.

Ręka doktora nie drżała, kiedy podawał zapalniczkę. Takim samym spokojnym ruchem zapalił swego papierosa i zaciągnąwszy się, spojrzał na Gardę.

– Słucham pana.

Hubert zabrał głos.

– Nawiązując do naszego małego nieporozumienia sprzed chwili, muszę panu oświadczyć, że obecnie występuję w oficjalnej roli. Odnośne polecenie otrzymałem już telefonicznie i proszę, by zechciał pan wziąć to pod uwagę.

Doktor w milczeniu skłonił głowę, wypuszczając kłęb dymu.

– Przede wszystkim mogę panu powiedzieć, że pana teza o samobójstwie już w świetle pierwiastkowych badań okazała się bardzo problematyczna. – Hubert końcami palców strzepnął niewidzialny kurz ze spodni.

Krzywoń raptownym ruchem obrócił się ku niemu.

– Co pan przez to chce powiedzieć?!

– To, co panu właśnie przyszło na myśl. Jeśli nie samobójstwo, to – morderstwo...

– Niemożliwe...! Przecież ktoś by... – Doktor nie mógł się wypowiedzieć i widocznie walczył z ogarniającym go wzruszeniem. – Któż go zamordował w takim razie i dlaczego?!

– To właśnie chciałbym wiedzieć. Teraz, doktorze, proszę sobie dokładnie przypomnieć każdy krok i każde poruszenie od chwili przekroczenia progu gabinetu po raz pierwszy. Chodzi mi o jak najdokładniejsze odtworzenie pańskich ruchów w tamtym pokoju, kiedy badał pan ciało.

– Nie sprawi mi to większej trudności. Służący został przy drzwiach...

– Przepraszam, że przerywam, ale jest to dla mnie ważny punkt. Początkowo nie uprzytomniłem sobie, że był tam powtórnie, razem z panem. Więc został przy drzwiach? Czy jest pan pewny, że nie wszedł z panem?

– Jestem zupełnie pewny. Stał, trzymając przez cały czas rękę na klamce. Podszedłem do pułkownika i zorientowałem się, że mam przed sobą już zwłoki. Dotknąłem wyciągniętej ręki – była zimna. Nie badałem więc dalej i nie chcąc nic dotykać ani ruszać, odwróciłem się do Józefa z oznajmieniem, że pułkownik nie żyje i żadna pomoc na nic się już nie zda.

– A potem?

– Zawróciłem i zaraz wyszliśmy. Zostawiłem służącego w holu, a sam pobiegłem do pana.

– Jakimi drzwiami wszedł pan do gabinetu?

– Z biblioteki.

– Nie z salonu?

– Nie...

– A gdzie pan stał w chwili, kiedy dotykał pan ręki nieboszczyka?

– Przy fotelu. Schyliłem się lekko, by jej dosięgnąć.

– Hm... – Garda zgasił papierosa, przyglądając się chwiejnym językom ognia, pnącym się ku górze falistymi ruchami po berwionach drzewa. Potem przeniósł wzrok na doktora.

Krzywoń splótł ręce przed sobą, przyglądając się paznokciom. Dolna warga, mimo napięcia szczęk wyraźnie pasujących się pod skórą, lekko mu drgała.

– O której poszedł pan wczoraj spać? – Pytanie było rzucone od niechcienia, zabrzmiało jednak jak oskarżenie.

Tak musiał też zrozumieć je i doktor, gdyż raptownym ruchem uniósł głowę, zwracając się do Gardy.

– Co pan przez to chce powiedzieć?

– Nic. Mam powierzone sobie dochodzenie i nie wierzę w samobójstwo. Jak skonstatowałem, z zewnątrz nikt nie mógł się dostać. Wszystko przemawia więc za tym, że morderca jest obecnie w tym domu. Nie stawiam panu przecież żadnych konkretnych zarzutów, lecz muszę wyjaśnić niektóre szczegóły.

– Ale skąd pan ma pewność, że mamy do czynienia z morderstwem? To byłoby zbyt straszne!

– Powiem panu, doktorze. Ktoś był w pokoju już po śmierci pułkownika i był to morderca.

– Skąd pan to wie? – Twarz Krzywonia okryta się bladością.

– Nieboszczyk, padając na biurko, wyrzucił jedną ręką kałamarz. Parę kropli spadło na podłogę i jedna z nich została rozsmarowana, prawdopodobnie podeszwą zabójcy.

Doktor uśmiechnął się ironicznie i uniósłszy po kolei nogi, pokazał podeszwy.

– To są buty, które i wczoraj miałem na nogach. Proszę, niech pan obejrzy – dorzucił z ironią.

– Już zauważyłem, że miał je pan i wczoraj – Hubert skłonił głowę – tym niemniej dziękuję panu, gdyż właśnie chciałem go o to prosić. Konstatuję z zadowoleniem, że plam nie ma.

– Dlaczego z zadowoleniem? – Doktor roześmiał się.

– Gdyż wówczas sprawa byłaby żenująco prosta, a za taką jej nie uważam.

Pozostawałoby tylko znaleźć motyw. Może mi pan odpowie na moje poprzednie pytanie. O której poszedł pan wczoraj spać?

– Mniej więcej o jedenastej. Razem z resztą towarzystwa.

– Czy udał się pan bezpośrednio do siebie?

Doktor zawahał się przez setną część sekundy, nie uszło to jednak uwagi Huberta.

– Tak! – rzucił pewnym tonem, zbyt pewnym, jak na stwierdzenie rzeczywistego faktu.

– Czy nic pan w nocy nie słyszał? Myślę o huku wystrzału.

– Nie, mimo że sen mam lekki i najmniejszy szmer mnie budzi.

Do pokoju weszła pani domu.

– Dzień dobry panom! Już na nogach?! – rzuciła wesołym tonem.

– Dzień dobry pani...

Krzywoń i Garda podnieśli się z miejsc, porozumiewając się wzrokiem. Ostatnie słowa zabrzmiały jak ironia i przez twarz Huberta przeszedł cień, gdy je wymawiał.

– Niestety mamy pani do zakomunikowania tragiczną wiadomość – odezwał się. –

Sądzę, że doktor lepiej się wywiąże z obowiązku jej udzielenia.

– Droga pani Elu... – lekarz zabrał głos – będzie pani potrzebowała dużo sił moralnych...

– Co się stało?! – krzyknęła, podbiegając ku nim. – Proszę mówić, doktorze!

– Mąż pani dziś w nocy... umarł...

Patrzyła na nich rozszerzonymi przerażeniem oczami.

– Boże... – pani Ela zachwiała się i ująwszy dłońmi skronie, opuszczała głowę.

Doktor podtrzymał ją ramieniem i doprowadził do fotela.

– Proszę powiedzieć jak... Jak się to stało? – Wymawiała wyrazy szeptem, a ostatnie słowo było ledwo dosłyszalne. – Dlaczego?

Garda zabrał głos.

– Dlaczego – niestety nie wiemy, ale zastrzelił się.

– To niemożliwe! Boże... niemożliwe... – Słowa padały urywanie i bezładnie. – Mimo wszystko, przecież... nie, nie...

Doktor podał ze stołu szklankę z wodą. Przytknęła ją do ust i słysząc było, jak dzwonią zęby o szkło.

– Proszę mi opowiedzieć... – przemówiła wreszcie słabym głosem.

– Znaleźliśmy pani męża rano w gabinecie, z przestrzeloną skronią. Nie żył od kilku godzin.

– Straszne... straszne...

– Droga pani – próbował pocieszyć ją doktor – wiem, że wszelkie słowa na nic są w takiej chwili, ale nie trzeba poddawać się rozpacz.

– Chcę go zobaczyć.

Wyciągnęła do Krzywonia ramię, unosząc nań suche, pałające oczy.

– Niestety, chwilowo jest to niemożliwe – zabrał głos Garda. – Bardzo mi przykro, ale jestem zmuszony odmówić. Chwilowo... – dodał po małej pauzie.

– Proszę mi podać ramię, doktorze, chcę wrócić do siebie. Pan jest bez serca! – zwróciła się do Huberta i przez pewien czas mierzyli się spojrzeniem.

Wzrok kobiety był tragiczny i pełen bólu, a ciemne źrenice Gardy zimne i nieodgadnione.

Po chwili został sam. Z ciężkim westchnieniem siadł na fotelu, pograżając się w zadumie. Podparł czoło rękami, starając się opanować przygnębiający nastrój.

Wyczuwał w atmosferze domu coś niepokojącego. Było to nieuchwytnie, denerwujące uczucie.

Nieruchome meble, otwarte na rozcień drzwi do holu, szarość i wilgoć poranka oraz to wrażenie czegoś niepojętego, cichego, czającego się... Zdawało się, że grube mury emanują z siebie jakiś niewidzialny opar wlokący się pokojami jak trująca mgła, ścieląca się niesamowitym całunem na ludzkich duszach, wnikająca w serca i mózgi...

Kominek dogasał i polana z sykiem zapadała się, tworząc z czerwonych, żarzących się węgli fantastyczne kształty bajkowych zamków i wież, szczytów górskich, przepaści i wąwozów.

Hubert poruszył się, a sprężyna w fotelu odezwała się przeciągłym, brzęczącym jękiem. Wysoki sufit odbił go stłumionym echem.

Potem dom pograżył się znów w przejmującej ciszy. Dzwoniła w uszach i chwyciła serce w zimne kleszcze groźnych przeczuć.

Garda wyczuwał tajemniczą postać. Oto groza rozpostarła szeroki welon, przysłaniając nim dom... Siadła teraz na okapie kominka i podparłszy brodę, nieruchome spojrzenie pustych oczodołów utkwiała w niego.

Spod przejrzystego całunu wyglądają końce suchych, białych palców podkurczonych nóg, których stawy znaczą lejąte zgrubienia.

Milczy, lecz Hubertowi się zdaje, że tak dużo chce mu powiedzieć i – obiecać...

A gdzieś w odległym pokoju, rzucona na błyszczącą taflę biurka trwa w bezruchu, groźna i niesamowita – ludzka bryła...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI